

Słowo wstępne

Pisząc tę książkę, nie miałam zamiaru zawrzeć w niej dziejów chrześcijaństwa starożytnego w całym jego bogactwie, postanowiłam skupić się w niej przede wszystkim na historii instytucji, którą przywykliśmy nazywać Kościołem. Zajmować się więc będę hierarchią kościelną, synodami i soborami ustalającymi zasady działalności pastoralnej i kształt poprawnej doktryny. Przedstawię ważniejsze postaci, ich sposób myślenia, taktykę wobec władz rzymskich, stosunek do prawa świeckiego, obyczajów i instytucji życia społecznego. Próbowałam tak „przyciąć” materię tej książki, aby Kościół jako instytucja (a nie Kościół – lud Boży) rysowała się jasno, a zarazem ze wszelkimi niezbędnymi komplikacjami. Tylko dwa ostatnie rozdziały: o cudach i kulcie świętych wykraczają (i też tylko w części) poza instytucjonalne ramy.

Kościół czy Kościoły? Lepiej byłoby używać liczby mnogiej. W początkowych wiekach istnienia chrześcijaństwa w sferze instytucjonalnej nie istniała bowiem organizacja, do której moglibyśmy odnieść termin „Kościół”. Spory doktrynalne już w starożytności powodowały ponadto kształtowanie się osobnych społeczności mówiących o sobie, że są „prawdziwymi Kościołami Chrystusowymi”. Waham się jednak iść za głosem zawodowego pedantyzmu, nie lubię dziwactw terminologicznych. Czytelnik tej książki przekona się, że nigdy nie zapominam, iż w starożytności istniały w sferze instytucjonalnej Kościoły, a nie Kościół.

Dzieje Kościoła stanowią przedmiot rozlicznych sporów, niekiedy bardzo namiętnych. Trudno je traktować z chłodem i dystansem, jaki z profesjonalnego obowiązku cechuje studia nad ustrojem miast greckich doby hellenistycznej lub przebieg kampanii galijskich Cezara. Kontrowersje na temat przeszłości chrześcijaństwa mają rozmaite przyczyny. Na pewno wynikają z niedoskonałości źródeł, których mamy za mało, bądź do których nie możemy mieć zaufania; tam zaś, gdzie rekonstrukcja przeszłości oparta jest nie na rzetelnych informacjach, jakich ta przeszłość sama nam dostarczyła, lecz na naszych domysłach, trudno będzie uczonym pozbyć się wątpliwości, sformułować jeden wspólny sąd. Gdy chcemy odtworzyć proces chrystianizacji jakichś obszarów w określonej epoce, a brak nam podstawowych danych o liczbie istniejących wówczas Kościołów, żadne zabiegi badawcze nie pozwolą na osiągnięcie zadowalających rezultatów; jeśli bardzo mało wiemy o najstarszej fazie dziejów Kościołów w Rzymie i w Alek-

sandrii, najsubtelniejsza nawet inteligencja i największa wiedza badacza nie uchronią jego hipotez przed miazdzącą krytyką kolegów.

Jednak równie ważnym źródłem sporów o dzieje Kościoła jest nasz stosunek do tej instytucji tu i teraz, do jej aktualnego kształtu, do głoszonej dziś doktryny i podejmowanych obecnie inicjatyw. Sądy o przeszłości i o terażniejszości Kościoła są bowiem tak ściśle z sobą związane, że nawet badaczowi, potrafiącemu zachować dyscyplinę w myśleniu i przyuczonemu do panowania nad własnymi sympatiami i antypatiami, trudno uchronić się przed przenoszeniem współczesnych mu pasji, niepokojów, problemów na czasy minione, nawet te najbardziej odległe.

Historia chrześcijaństwa antycznego stanowi obszar badawczy szczególnie drażliwy. Ani dzieje Kościoła średniowiecznego, ani nowożytnego nie wywołują tego stanu napiętej czujności lub wręcz podejrzliwości, jaki towarzyszy odbiorowi literatury historycznej traktującej o chrześcijaństwie starożytnym. Źródłem zrozumiałych emocji są nie tylko badania nad działalnością oraz naukami Jezusa i jego bezpośrednich uczniów, niemal takie same namiętności towarzyszą historykom następnych pokoleń Kościoła. Krytyczne opinie lub nawet otwarte złośliwości wygłaszane pod adresem papieży XV lub XVI w. przejdą niezauważone, natomiast biografie wielkich twórców papieżstwa, jak Damazy (366–384) czy Leon Wielki (440–461), będą z góry naznaczone tonem właściwym hagiografii lub, wręcz przeciwnie, inwektywie. Nie jest to bynajmniej dziwne. Wszystkie odmiany chrześcijaństwa przyznawały (i przyznają) szczególny autorytet poglądom pisarzy tworzących w tym okresie. Nie bez kozery nazwano ich Ojcami Kościoła, przywołując ich opinie w rozmaitych sporach, pojawiających się nawet wiele wieków po ich śmierci. Jeszcze teraz przedstawiciele Kościołów szukają w ich pismach uzasadnienia podejmowanych obecnie decyzji, zgodność współczesnej nam myśli chrześcijańskiej z doktryną sformułowaną u schyłku starożytności jest traktowana jako ważki argument wspierający dzisiejsze poczynania. W starożytności (tej wcześniejszej, przed Konstantynem, i tej późniejszej, przed końcem VI w.) uzyskały swą tradycyjną formę najważniejsze chrześcijańskie obrzędy, powstał kult świętych i kult Marii Panny, pojawiły się klasztory, rozwinął ruch pielgrzymkowy – a więc zjawiska żywe po dzień dzisiejszy. Kiedy czytamy list św. Grzegorza z Nyssy, krytykującego tych, którzy przywiązują zbyt dużą wagę do pielgrzymek do Jerozolimy („I cóż więcej od innych będzie miał ten, który był w owych miejscach, a od nas odszedł; albo jak gdyby Duch Święty okazywał pełnię działania u jerozolimian, a nie mógł przejść do nas! Duch Święty wionie, gdzie chce...” – przekł. T. Sinki), trudno nie zastanawiać się nad wartością uwag tego wielkiego teologa w odniesieniu do współczesnych nam pielgrzymek. Antyczna krytyka ascezy może łatwo współbrzmieć z dzisiejszymi dyskusjami o celach małżeństwa i o stosunku Kościoła do sfery życia erotycznego.

W mojej książce spory obu rodzajów (i te erudycyjne, wynikające z niedostatków źródeł, i te mające korzenie światopoglądowe) zajmować będą sporo miejsca. Sta-

rałam się bowiem tak ją napisać, aby pogodzić wykład wiedzy o najważniejszych, w moim przekonaniu, zjawiskach w przeszłości starożytnego Kościoła z wywodami odkrywającymi tajniki rozmaitych dysput badawczych. Czyniłam tak dlatego, że jestem przekonana, iż – wyłączając jedynie najprostsze, szkolne podręczniki – historyk powinien zawsze pokazywać czytelnikowi swój warsztat badawczy, aby uświadamiać mu zmienny charakter historiografii. Z tego punktu widzenia nie ma większych różnic między nauką historyczną a fizyką, chemią, biologią – tak jak one, wiedza o przeszłości podlega stałym zmianom, wzbogaca się i komplikuje. Nie widzę powodów, dla których zwykły zjadacz chleba, bez protestów przyjmujący informacje o nowych teoriach na temat budowy gwiazd i atomu, nie mógłby zrozumieć, że historia jest także nauką podlegającą ewolucji.

W przypadku historii Kościoła istnieje też jednak inny, ważniejszy moim zdaniem powód, który skłania mnie do przedstawienia przynajmniej części toczonych polemik. Poznając sens sporów o przeszłość chrześcijaństwa, poruszamy się przecież w kręgu pytań dotyczących naszego sposobu pojmowania wiary, miejsca, jakie zajmuje ona w naszym życiu, a także naszego stosunku do instytucji kościelnych. Współczesnemu inteligentowi trudno będzie w pełni przyjąć religijne posłanie ksiąg biblijnych, jeśli zabraknie mu kultury historycznej, tak potrzebnej w obcowaniu z religią powstałą przed wiekami, w odmiennych warunkach, wśród ludzi o odmiennej od nas mentalności. Bariera stworzona przez czas może skutecznie odepchnąć dzisiejszego czytelnika od dziwnego, na pierwszy rzut oka, tekstu, pozbawić wrażliwości na jego religijną treść, nawet ośmieszyć zawarte w nim wywody. To samo dotyczy niektórych pism Ojców Kościoła czy też decyzji synodów i soborów sprzed wieków.

Zrozumienie i przyjęcie chrześcijańskiego przesłania religijnego wymaga zawsze selekcji jego treści, oddzielenia tego, co jest prawdą obojętną na przemijanie wieków, od tego, co należałoby uznać za związane z minionymi czasami i co znika wraz z nieistniejącymi już społecznościami. Kierowanie tym procesem nie jest oczywiście zadaniem historyka Kościoła, ale może on tu odegrać ważną rolę, ucząc sztuki zachowania szacunku dla przeszłości, przyzwyczajając do patrzenia na wszelkie jej zjawiska z dociekliwym pragnieniem ich zrozumienia, ze świadomością więzi z chrześcijanami pierwszych wieków, przy równoczesnym pojmowaniu odmienności sposobu odczuwania przez człowieka XXI w. jego drogi do Boga.

Czytelnik nie znajdzie więc w mojej książce dyskursu beznamietnego, akademickiego, dostojnego. Wykład naznaczony będzie nieskrywanymi pasjami. Wybrałam ten sposób pisania o historii Kościoła w przekonaniu, że odsłaniając kulisy badań historycznych, tłumacząc, o co i dlaczego spierają się uczeni, jakie argumenty padają w ich dysputach, pomogę czytelnikowi wyrobić w sobie zdolność rozumienia dziejów Kościoła, a przez to ułatwię mu walkę z niebezpieczeństwem stwarzanym przez dwie skrajne, przeciwstawne sobie postawy: czystą apologetykę i czysty antyklerykalizm, w równym stopniu groźne dla naszej kultury, nie tylko tej historycznej.

Przyznaję, że postanowiłam się skupić na dziejach instytucji kościelnych z wyrażonej przekory. Wielkość chrześcijaństwa jest oczywista, nawet jeśli ktoś nie należy do grona ludzi biorących czynny udział w kulcie, zazwyczaj zachowuje wobec religii Chrystusowej szacunek i sympatię. Jednak niechęć do instytucji zwanej Kościołem/Kościołami bywa pospolita, antyklerykalizm jest obecny w krwiobiegu współczesnej cywilizacji zachodniej. Ten antyklerykalizm jest tani, zazwyczaj wulgarny, składa się ze stereotypów, nie obchodzi go nadmiernie ani przeszłość obśmiewanej instytucji, ani jej teraźniejszość. A tę instytucję trzeba poznać i zrozumieć, materia studiów w tej dziedzinie jest niezmiernie interesująca.

Na koniec tego wstępu niech mi będzie wolno wskazać na jedną z tez książki, szczególnie dla mnie ważną. Pilna obserwacja historii antycznego chrześcijaństwa jasno pokazuje, że nie przypadł jej w udziale prosty, tryumfalny marsz, w którym dobrzy chrześcijanie byli jednoznacznie oddzieleni od złych. Dzieje Kościoła starożytnego są dziejami szarpaniny, w najwyższym stopniu bolesnej dla jej uczestników, niekiedy nawet krwawej. Szukanie religijnych dróg nikomu nie dawało przywileju natychmiastowej nieomyślności. Jesteśmy dziedzicami wszystkich stron, które uczestniczyły w ówczesnych kontrowersjach. Wzniosłość i małość, ambicje i pobożność były z sobą wymieszane tak, że po wiekach nie da się ich od siebie oddzielić. Wielcy ludzie Kościoła, inicjujący ogromne zmiany, pokazujący całym pokoleniom religijne cele, potrafili czynić i dobro, i zło. Prowadzono ludzi ku Bogu perswazją, ale i przemocą, prześladowano się wzajemnie z niesłuchaną zaciekłością w imię ewangelicznej religii, kładącej przecież tak wielki nacisk na miłość bliźniego.

Ta szarpanina jest zazwyczaj traktowana jako objaw słabości Kościoła, coś, co można wykorzystać jako cel złośliwych ataków lub czego trzeba się wstydić. Historiografia apologetyczna czyniła wiele, aby drogi Kościoła w przeszłości wygładzić. Ja w tych dramatycznych zmaganiach widzę wielkość i wspaniałość chrześcijaństwa, jego bogactwo, coś, co budzi szacunek i co człowiek XXI w. może śledzić z podziwem i sympatią.

Dorobek tamtych pokoleń, naznaczonych piętnem niepokoju i religijnego cierpienia, był ogromny, to on legł u podstaw naszej dzisiejszej cywilizacji. Moglibyśmy oczywiście interesować się tylko owocami ich wysiłku i męki, abstrahować od wahań, ignorować odrzucone po drodze myśli i instytucje. Możemy jednak przyglądać się uważnie i życzliwie meandrom procesów tworzenia chrześcijańskiego dziedzictwa, odnajdując w nich zarówno ludzkie nadzieje, tęsknoty, małości, jak i metafizyczną wzniosłość, nadającą sens bytowaniu następnym pokoleń.

Do pisania książki zabrałam się jesienią 1992 r. Państwowy Instytut Wydawniczy opublikował ją w 1994 r. Przystępując do przygotowywania drugiego wydania w WUW, doszłam do wniosku, że nie powinnam w niej wprowadzać głęboko sięgających zmian. Dokonałam natomiast sporo zmian mniejszych. Tu

i tam usunęłam ustępy, w których znalazły się rozumowania dziś mnie nieprzekonujące, skorygowałam sformułowania, terminy. Niewiele dopisałam. Czytana po latach książka wydała mi się konsekwentnie zbudowana, bałam się, że jeśli zacznę ją udoskonalać, nieuchronnie pojawią się powtórzenia. W sprawach dla mnie podstawowych, a dotyczących sposobu prowadzenia badań nad dziejami Kościoła, moje poglądy nie uległy zmianie.

W bibliografii znajdują się informacje dotyczące wydań lub przekładów źródeł cytowanych w tekście. *Pismo Święte* cytuję wedle *Biblii Tysiąclecia* (korzystałam z wydania trzeciego, poprawionego, z 1980 r.). Co się tyczy innych tekstów, trzymałam się zasady podawania zawsze nazwiska tłumacza – jeśli go po jakimś ustępie nie ma, oznacza to, że przekładu dokonałam sama (lub tak zmieniłam przekład już istniejący, że biorę za niego pełną odpowiedzialność – uważam ten zabieg za uzasadniony, gdyż nasze przekłady są często dalekie od doskonałości).

Rada praktyczna: proszę korzystać z tabel synchronicznych zamieszczonych na końcu książki, podają one podstawowe informacje o wydarzeniach „moich” czasów, bez których znajomości można mieć kłopoty ze zrozumieniem tekstu.